

USA – pomiędzy izolacjonizmem i liberalnym interwencjonizmem? Rozmowa z Piotrem Wołejką

Wraz z powrotem administracji demokratycznej prezydenta Joe Bidena, liberalny nurt w polityce międzynarodowej znowu odzyskał wiatr w żaglach. Donald Trump ewidentnie stawiał na politykę transakcyjną. Nie przykładając wagi do wartości, Europę uznał za głównego przeciwnika w obszarze gospodarczym i handlowym – mówi Piotr Wołejko w rozmowie z „Teologią Polityczną Co Tydzień”: „Ich bin ein... O architekturze bezpieczeństwa”.

Maciej Nowak (Teologia Polityczna): Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych wpływa na zmieniający się układ sił w systemie międzynarodowym i nawet ich najdalsi sojusznicy – nie tylko geograficznie, ale i kulturowo – zdają się maszerować pod sztandarem wszystkich zachodnich wartości. Przykładem może być militarne wsparcie ekstremistów w Azji Centralnej podczas zimnej wojny. Czy można uważać to zaangażowanie za błąd spowodowany mało ostrożną polityką definiowania „przyjaciół” i „wrogów”?

Piotr Wołejko: Myślę, że raczej można uznać to za skutki uboczne decyzji, czasem podejmowanych czy to pod wpływem chwili, czy bez pewnego daleko idącego strategicznego namysłu. Często jest tak, że sytuacja wymaga jakiejś reakcji i to powoduje, że wybierane sposoby

poradzenia sobie z tą sytuacją, chociażby wsparcie jakiejś jednej grupy, która już jest na miejscu, albo próba stworzenia jakiejś przeciwwagi sił, w średnim i dłuższym terminie może prowadzić do sytuacji, w której tworzy się problem, z którym trzeba sobie poradzić. Przypadek wsparcia sił ekstremistycznych jest dobrym tego przykładem. Zupełnie nie zdawano sobie sprawy z dalekosiężnych skutków takiej decyzji. W momencie jej podjęcia, takie rozwiązanie wydawało się idealne. Niestety wkrótce okazało się, że te siły nie są ograniczone tylko do terytorium Afganistanu, tylko mają dużo dalsze, wykraczające poza jeden obszar cele, w jakimś sensie uniwersalistyczne. Stały się one problemem, z którym trzeba było sobie radzić przez kolejne dwadzieścia czy trzydzieści lat. W sumie to jest problem do dziś obecny, choć oczywiście już znacznie mniejszy niż jeszcze dziesięć czy piętnaście lat temu.

Czy możemy mówić tu o podobieństwie do wspierania dyktatur Ameryki Łacińskiej, które wywołały później przesunięcie sympatii tamtejszych społeczeństw w strony przeciwne Zachodowi?

Tak, zdecydowanie, chociaż te działania charakteryzowały się nieco innym podejściem. Stany Zjednoczone jeszcze w XIX wieku przyjęły doktrynę, że to, co się dzieje na zachodniej półkuli, jest interesem Stanów i żadna siła zewnętrzna nie powinna się w to angażować. Amerykanom wydawało się zatem, że w tym obszarze mogą pozwolić sobie na znacznie więcej. Historycznie patrząc, interwencje w Ameryce Łacińskiej czy Centralnej, obalenie rządu, przywódców, czy wspieranie prawicowych dyktatur miało miejsce przed wsparciem sił ekstremistycznych w Afganistanie. Mając w pamięci te różnice, możemy stwierdzić, że jest to analogiczne działanie tej samej kategorii polityczno-strategicznej. Wszyscy pamiętamy nieelegantką wypowiedź

Franklina Roosevelta: *Somoza may be a son of a bitch, but he's our son of a bitch*. W wieku dwudziestym – zwłaszcza w drugiej połowie – działania tego typu były oceniane zero-jedynkowo. Decydenci w Waszyngtonie myśleli, że nie będą one niosły większych negatywnych konsekwencji. Obawiali się też teorii domina, że pojawienie się jednego rządu komunistycznego może, przy wsparciu ze strony Związku Sowieckiego prowadzić do powstania kolejnych. Taka sytuacja była wysoce niepożądana i próbowano temu zapobiegać. Działania były nieraz bardzo agresywnie i skutki widoczne są do dzisiaj, właśnie w postaci dużej nieufności do Stanów Zjednoczonych. Jest ona bardzo zakorzeniona – w społecznej pamięci głęboko tkwi to, że obalono tego czy innego przywódcę i zainstalowano jakiegoś dyktatora, który najczęściej dopuszczał się różnego rodzaju nadużyć związanych z prawami człowieka, wolnościami, a przy okazji grabił kraj razem ze swoimi kolegami, dopuszczał się korupcji i tym podobnych działań, a lewica – kontrastując – szła właśnie pod sztandarem wolności. Widzimy to dzisiaj, ale nie zadajemy sobie pytania, dlaczego w Ameryce Łacińskiej jest tak małe poparcie i zrozumienie dla wspierania Ukrainy i walki z Rosją. Powinniśmy sięgnąć pamięcią właśnie do tych wydarzeń ubiegłego wieku, do tych różnych interwencji, nawet nie stricte militarnych, ale właśnie politycznych, czy wsparcia służb specjalnych w celu mieszania w polityce wewnętrznej poszczególnych państw.

Jakie miejsce w amerykańskiej perspektywie zajmuje koncepcja integracji europejskiej?

Dla Amerykanów niezwykle istotne było, żeby po tragedii drugiej wojny światowej i przy jednoczesnym powstaniu Związku Sowieckiego jako głównego rozgrywającego w obszarze eurazjatyckim, stworzyć sojusz,

który będzie opierał się na zachodnich wartościach, dziś zwanych transatlantyckimi. Po drugie, kluczowe tu są oczywiście wzmocnienie i odbudowa gospodarcza, po trzecie bardzo szybko zawiązane NATO i współpraca wojskowa. Pamiętamy, że Amerykanie dość szybko wsparli remilitaryzację Niemiec. Patrząc na mapę, było dla nich oczywistym, że Niemcy jako państwo frontowe, historycznie gospodarcza i militarna potęgą na skalę europejską, muszą być odbudowane wraz z ich potencjałem gospodarczym i wojskowym.

Amerykanie cały czas sprzyjali projektowi europejskiemu. Pamiętamy słynne słowa Kissingera, że gdyby chciał dzwonić do Europy, nie wiedziałby, na który telefon powinien dzwonić. Ironizując, można powiedzieć, że do dziś nie wiadomo na który. Trzeba jednak przyznać, że wsparcie dla Europy – oczywiście finansowe, ale nie tylko – było ogromne. To wszystko doprowadziło do tego, że związek pomiędzy USA i Europą, opierającą się na wielu wspólnych interesach i wartościach, przetrwał próbę czasu. W takim okresie naprawdę wiele może się wydarzyć, a mimo różnych wzlotów i upadków – za przykład niech posłuży prezydentura Donalda Trumpa, który niekoniecznie rozumiał strategiczną potrzebę bliższego związku z Europą – relacje te nie uległy pogorszeniu. Jednym ze skutków rosyjskiej agresji na Ukrainę jest rewitalizacja tego związku, przypomnienie, że w dalszym ciągu Europie zagraża to, co wydawało się już niemożliwe, czyli klasyczna wojna i zniszczenie.

Kiedy Ameryka stara się redefiniować stosunki międzynarodowe?

Towarzyszy temu napięcie występujące pomiędzy idealizmem i liberalnym interwencjonizmem – Amerykanie bardzo aktywnie kształtują sferę międzynarodową (ingerują w sprawy wewnętrzne różnych państw, czy to bezpośrednio, czy pośrednio w formie nacisków) – a izolacjonizmem z drugiej. To strategia głęboko zakorzeniona w politycznej historii Stanów Zjednoczonych. Oczywiście mamy też realistów (przykładem niech będzie Kissinger), którzy uważają, że trzeba zachowywać się tak, jak Europejczycy w XIX wieku: balansować interesy, równoważyć siły i zarządzać światowym chaosem będącym podstawą teorii realistycznej stosunków międzynarodowych. W zależności od momentu, w historii Stanów mamy do czynienia z przewagą tego, bądź innego z tych trzech podejść do polityki międzynarodowej. Mam wrażenie, że wraz z powrotem administracji demokratycznej prezydenta Joe Bidena, ten liberalny nurt w polityce międzynarodowej znowu odzyskał wiatr w żaglach. Donald Trump ewidentnie stawiał na politykę transakcyjną. Nie przykładając wagi do wartości, Europę uznał za głównego przeciwnika w obszarze gospodarczym i handlowym. Nie możemy zapominać, że kiedy stawialiśmy pierwsze kroki w czymś, co można nazwać wojną handlową między Chinami a Europą, Ameryka prowadziła dość ostrą grę. Teraz to się zmieniło, a z punktu widzenia transatlantyckiej wspólnoty wartości była to zmiana na lepsze. Zdecydowane podejście transakcyjne uniemożliwia budowanie dobrych relacji. Wrócono do współpracy opartej na wartościach, czyli na wolności, demokracji, prawie decydowania o przyszłości swojego kraju na własną rękę, do współpracy gospodarczej i do aksjologicznej podstawy NATO, czyli wspólnej obrony w przypadku zagrożenia. Z punktu widzenia państw transatlantyckich – Europy, Stanów Zjednoczonych, Kanady i Australii, a coraz bardziej także Japonii i Nowej Zelandii – zdaje się być to kierunek zapewniający większe bezpieczeństwo.

Którzy gracze na arenie międzynarodowej reagują negatywnie na taką politykę?

Można wymienić tutaj Chiny i ich dążenia do tego, żeby ład międzynarodowy wyglądał inaczej. Następnie Rosję, która jest agresywną potęgą, która nieustająco w swoim sąsiedztwie, bliższym bądź trochę dalszym – mam na myśli Bliski Wschód i Syrię – próbuje siłą ten chaos tworzyć i przekształcać na swoją korzyść. Sceptyczne są też kraje tzw. Globalnego Południa, które z różnych względów, głównie z powodu kolonizacji, nie kupują idei transatlantyckiej i wolą zachować wobec niej rezerwę, opowiadając się raz za jedną, raz za drugą stroną, raczej kierując się własnymi, wąsko określonymi celami, nie patrząc na wartości. Często zadajemy sobie z naszej europejskiej perspektywy pytanie: dlaczego niektóre demokracje Globalnego Południa nie potępiają rosyjskiej agresji na Ukrainę? Tutaj właśnie możemy znaleźć wytłumaczenie. Mają swoje interesy, nie współdzielą tej transatlantyckiej optyki, inaczej określają swoje podejście i korzystają ze swojej suwerenności w taki, a nie inny sposób.

Z Piotrem Wołejką rozmawiał Maciej Nowak

Foto: Domena publiczna

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

M.W.